NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K 24·70. Półrocznie K 49·40. Rocznie K 98·80. W Austryi: Kwartalnie K 24·70. Półrocznie K 49·40. Rocznie K 98·80.

Zmiana adresu 66 halerzy.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 1 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 1·40, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 2 kor., za wiersz petitowy w części reklamowej 5 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Wincenty Korolewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 31.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.

Numer pojedynczy 2 kor.

Rok XVI. | **Kraków, 27. września 1919.** | **Nr. 39.**

W ruinach Francyi.

(Treść na str. 11).



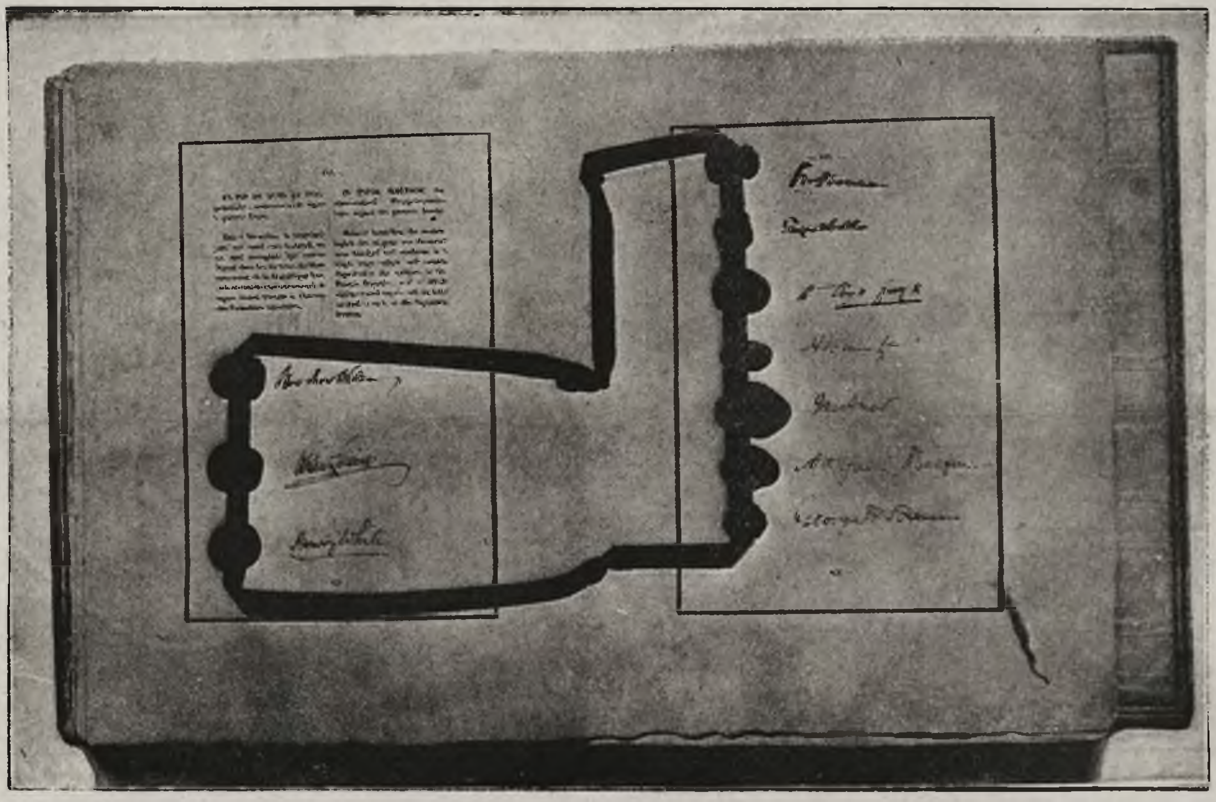
Dwudziestu mieszkańców, którzy wrócili do zburzonej wioski Pontavert (Aisne) znaleźli pomieszkanie w stanowisku wodza.

Na marginesie pokoju z Niemcami.

Widzieliśmy jasno wiele pomyłek w traktacie, które pomijając wszelkie nasze i z całą pewnością słuszne pretensye wprowadzono, nie licząc się wcale z naszą opinią, ale przecie jedni z pierwszych podpisaliśmy, a nawet rachując się poważnie z koalicyą traktat o mniejszości, przypuszczając, że i to, na co zgodziliśmy się, zostanie jeżeli nie litera w literę to choć z grubsza wypełnione. Tymczasem stało się wprost inaczej. Traktat z Niemcami okazał się najzwyklejszym świstkiem papieru, który ludziom nie powinien psuć humoru. Że pokój z Niemcami pozostał tylko na papierze, przekonano się rychło, ale dość niemiłe było to przekonanie, a dla nas wprost bolesne, bo Niemcy czując Anglię i Francyę od zachodu, a będąc w kontakcie z Czechami, zwrócili się przedewszystkiem przeciwko nam. Sprawa Śląska Górnego, która w momencie stanęła na ostrzu miecza dała „przedsmak" zrealizowanych warunków pokojowych. Patrząc trzeźwo otwartemi oczami na kunktatorską i bladą politykę państw koalicyjnych, widząc skrępowanie Polski klamrami zaprzyjaźnienia z ententą, wywołali powstanie na Górnym Śląsku, czego misye ententy nie rozumieją wcale, jak świadczy o tem opinia międzykoalicyjnej komisyi wojskowej, która przekreślając wszelkie pretensye powstańców, jest zdania, że „muszą Polacy spokojnie odczekać okupacyi Górnego Śląska przez wojska obce".

Oczywiście dzisiaj, kiedy powstanie stanęło w takiem oświetleniu, kiedy zwrócono się do nas z wyrzutami właśnie za powstanie, kiedy w ten sposób pośrednio podpisano zgodę na metodę postępowania pruskich zbirów, kiedy w niedawno jeszcze przychylne do nas odniesienia wprowadzono znowu dysonanse i przekreśla się świadomość rozgoryczenia, jakie powyższe zdanie może wywołać w Polsce naturalnie, że Niemcy śmiało mogą z politowaniem kiwać głową nad traktatem i powiedzieć sobie bez omyłki, że to pokój przecie „prowizoryczny" — na papierze. Że rozstrzygającą jest tutaj zbytnia ustępliwość koalicyi i zbyt wielkie liczenie czy nawet rachowanie z Niemcami — to pewne.

Obawiano się np., że tyle tysięcy wejdzie Niemców, jeżeli przyzna się nam Gdańsk, tymczasem okazuje się, że dziś Gdańsk oderwany od Niemiec wcale na to nie narzeka. Wprowadzono plebiscyt na Górnym Śląsku i zamyka się mocno oczy, aby nie widzieć postępowania z Polakami na terenie plebiscytowym. W Warmii i na Mazurach wprowadzono plebiscyt, a ci sami Warmiacy i Mazurzy są tem oburzeni, uspakajając nas co do wyniku. I co o tem wszystkiem myśleć, jeżeli przytoczy się rodniejszych opinii napotyka na ogromne trudności, a znaną jest zabiegliwość i lisia robota Niemców, którzy albo oszczerstwem, albo bagnetem zdobywają wszystko. To jednak, ani na krok nie uchyla rzeczywistości, która nielitościwie wskazuje, że

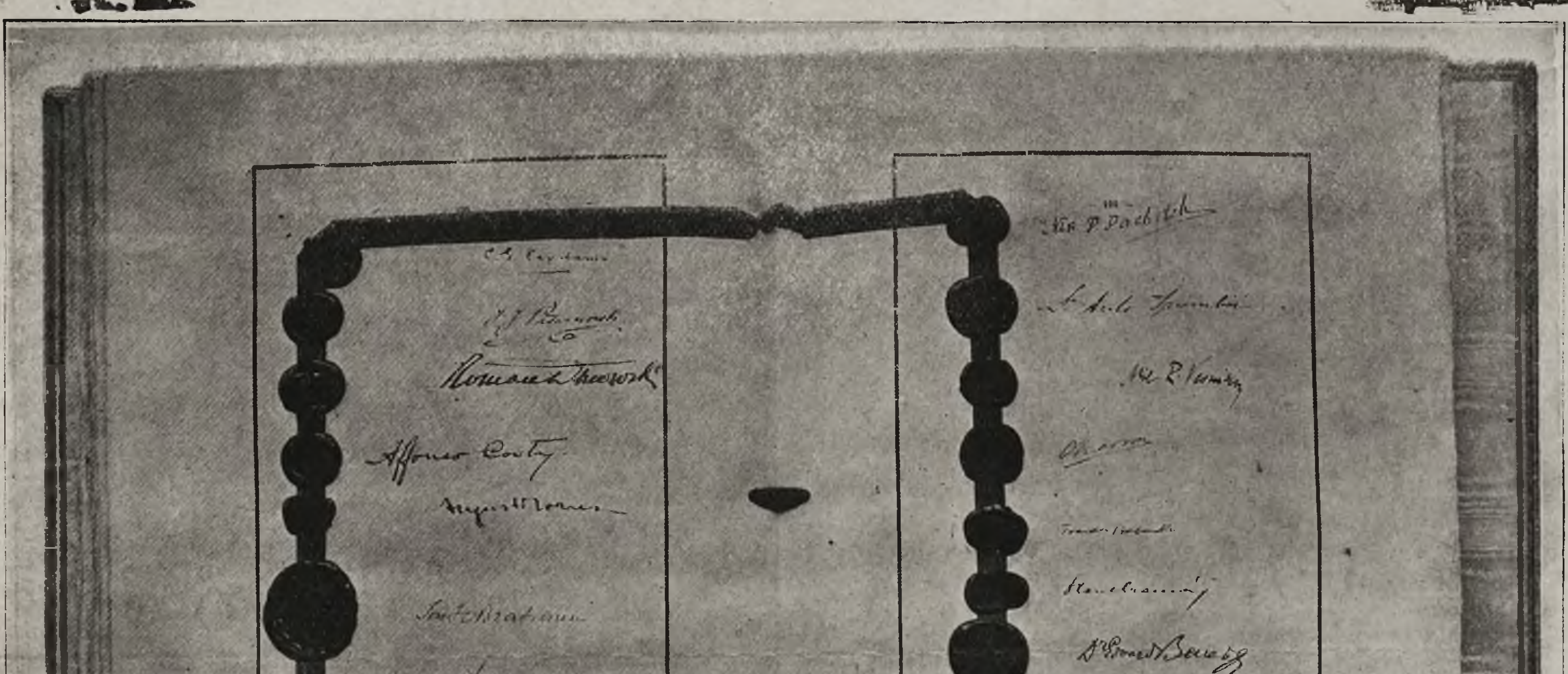


Na marginesie pokoju z Niemcami: Ostatnia stronica traktatu; podpisy i pieczęcie delegatów Ameryki i Anglii.

tylko jeden fakt, że Ruś Karpacką Czechom oddano bez plebiscytu, a na Śląsku Cieszyńskim plebiscyt wprowadzając postąpiono względem nich z najdalej idącą, wprawdzie teoretyczną ustępliwością. I jak mają się z nami liczyć niemieckie zbiry, skoro takie jest nasze stanowisko na zachodzie Europy. Można to sobie wytłumaczyć, bo i dowodów przychylności państw koalicyjnych, a szczerej przyjaźni Francyi i Włoch mamy dość. Najwyższa Rada ma tyle spraw, taki nawał czasem najsprzeczniejszych interesów, że zoryentowanie się w chaosie najróżnorodniejszych... Niemców podpis na traktacie jest zwykłą formalnością w ich opinii nie wytrzymującą najmniejszej krytyki — to jest dla nich śmieszne.

Powrót gen. Pershinga do Ameryki.

Pierwszego września specyalny pociąg generała Pershinga, zatrzymał się w Brest, wojennym porcie. Wkrótce przedtem przybył tu automobilem mar-



Na marginesie pokoju z Niemcami: Traktat pokojowy podpisy i pieczęcie delegatów: Peru, Polski (Ign. Paderewski, R. Dmowski) Portugalii, Rumunii, Serbii, Kroacyi i państw południowo słowiańskich, Siamu, Czechosłowacyi, Urugnayu.

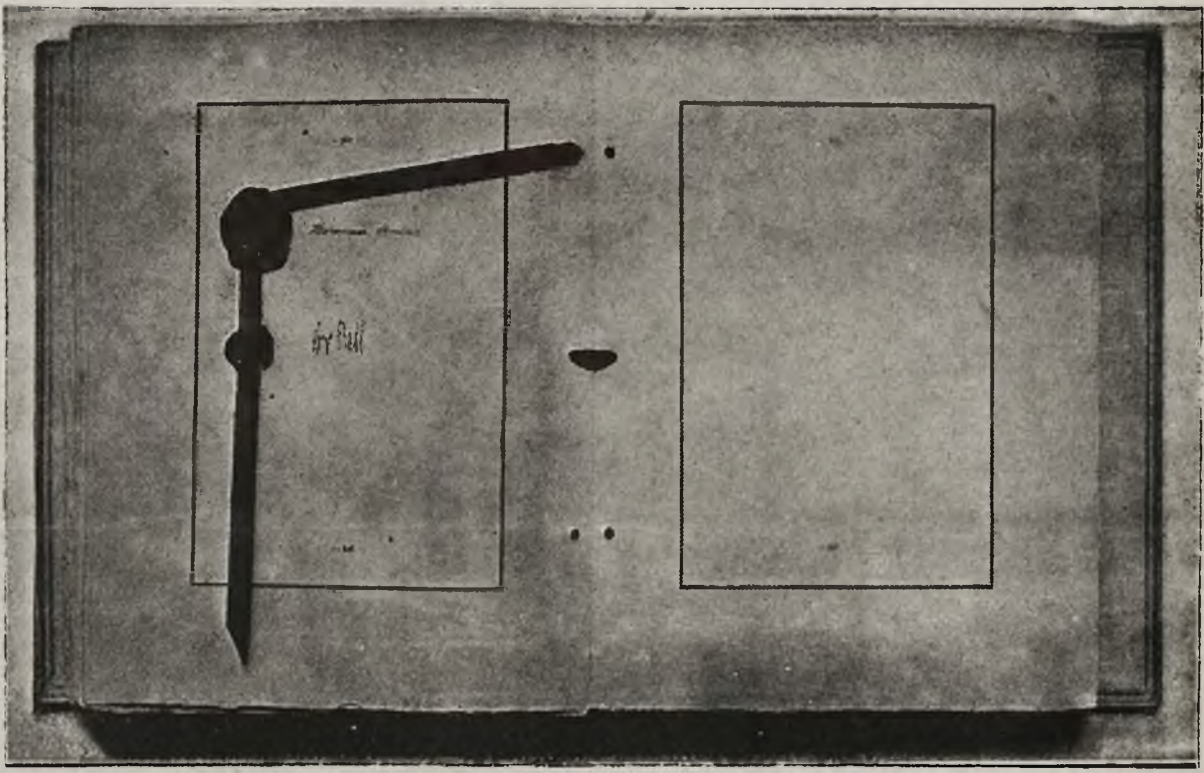
szałek Foch, aby pożegnać opuszczającego ziemię francuską generała.

Rozległ się daleki hejnał na trąbce, gdy generał wysiadł z pociągu. Marszałek podał mu obie ręce. Byli obecni wiceadmirał Salaüm, generałowie Weygard i Braquet, kontradmirałowie Bernoît i Gront, Brisard i Hervangault pierwszy adjutant.



Powrót gen. Pershinga do Ameryki: Gen Pershing w porcie przed odjazdem.

Długie i serdeczne było spotkanie obu wodzów, wśród dźwięków muzyki hymnu amerykańskiego i Marsylianki. Następnie marszałek wszedł między oddziały odjeżdżającego wojska, dziękując za trudy, poniesione dla Francyi, poczem udał się na pokład transatlantyckiego okrętu „Leviatana", aby generała Pershinga ostatni raz pożegnać. Dało się już słyszeć warczenie śruby okrętowej, obracającej się z coraz większą szybkością, twarz wodza spoważniała, patrzy na ziemię, której pomagał ze swoimi żołnierzami bronić świętej wolności. I ostatnie słowo marszałka:



Na marginesie pokoju z Niemcami: Traktat pokojowy; podpisy i pieczęcie dwóch delegatów Niemiec (Hermann Müller, dr. Bell.

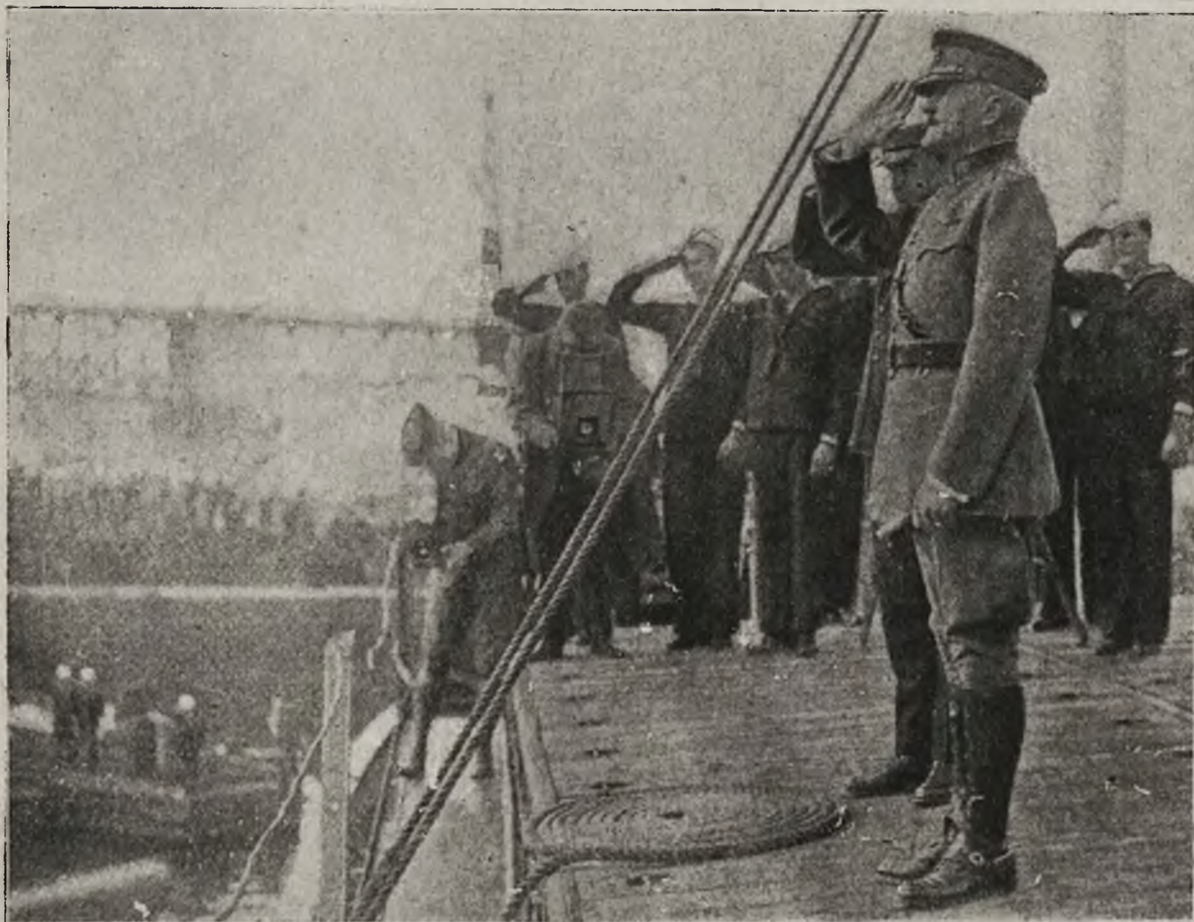


Powrót gen. Pershinga do Ameryki: Gen Pershing i marszałek Foch odbywają przegląd orkiestry 19 pułku piechoty i oddziału strzelców marynarskich, którzy przed wodzami oddają honory.



Powrót gen. Pershinga do Ameryki: Ostatnie pożegnanie wodza armii amerykańskiej i francuskiej.

„Po długich miesiącach zmagań, po trudach i budzących się na nich tryumfach, przychodzi dać odpowiedź na te wiekopomne słowa, wstępujących na ziemię francuską żołnierzy amerykańskich „La Fayette nous voilà“. Na to pozwólcie odpowiedzieć wojskom francuskim dzisiaj: Dzięki wam za trudy



Powrót gen. Pershinga do Ameryki Gen. Pershing oddaje ostatnie pożegnanie ziemi francuskiej.

i ciężką, a znojną pracę, za nasze miasta i wsie, w obronie naszych braci, za obficie zroszoną krwią naszą ziemię, za Marnę, Oise, za pola Picardyi i Belgię“. Generał wzruszony podziękował. Około godziny pierwszej po południu marszałek po raz ostatni uścisnął dzielnego wodza, a potem opuścił okręt. Wśród głośnych okrzyków na cześć generała i jego dzielnej armii, wśród muzyki pożegnalnej, około godziny 3 po południu „Leviatan“ odjechał eskortowany przez pancernik Gloire i pięć torpedowców.

Teatr wodewilowy we Lwowie.

Założony we Lwowie przed rokiem Teatr wodewilowy pozostający pod dyrekcyą założycieli redaktora Leona Daniluka i dra J. Weissa, zyskał już sobie prawo obywatelstwa, tak że jest on uważany we Lwowie jako drugi stały teatr po teatrze miejskim. Umiejętne prowadzenie teatru, niezmordowana praca dyrekcyi, wytrzymałość finansowa i energia, postawiły teatr na wyżynie artystycznej, czego dowodem recenzye wszystkich pism lwowskich i uznanie publiczności, która chętnie zapełnia codziennie piękną salę teatralną przy ul. Ossolińskich. Uznanie też dyrekcyi wyrazili członkowie misyi koalicyjnej i generał Wacław Iwaszkiewicz za to, że teatr wodewilowy grał bez przerwy nawet wówczas, gdy Ukraińcy ostrzeliwali miasto i wobec zamknięcia teatru miejskiego był jedynym pulsem, który podtrzymywał ruch w mieście i dodawał otuchy mieszkańcom, że przecież tak źle nie jest z miastem, skoro teatr gra. Duszą teatru jest także doskonały reżyser i znakomity aktor p. Michał Tatrzański.

Groby Wielkopolan pod opieką młodzieży szkół lwowskich.

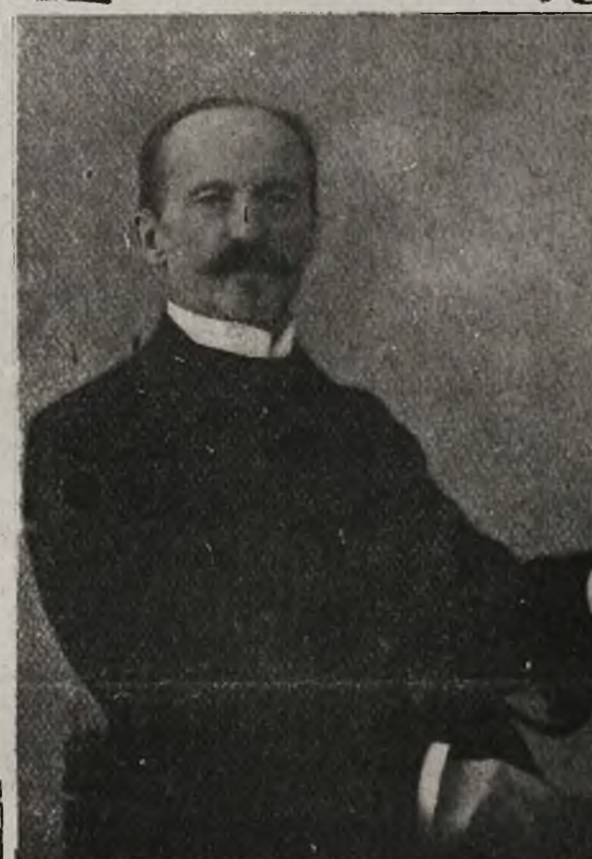
Kiedy grupa wojsk Wielkopolskich, po przyniesieniu odsieczy dla osaczonego przez Ukraińców miasta Lwowa, opuszczała ten gród kresowy i spieszyła na szańce Wielkopolskie — wówczas złożyła młodzież lwowska ślubowanie, że weźmie w opiekę groby poległych braci z nad Warty i otoczy mały ich cmentarzyk szczerą opieką i z serca płynącą wdzięcznością. Idąc za potrzebą własnego serca, oraz wywiązując się z przyrzeczenia, wykonała młodzież lwowska, zorganizowana w tegorocznych półkoloniach, własnemi siłami wszystkie roboty ziemne i ornamentacyjne na kilkudziesięciu grobach wielkopolskich bohaterów. Ponadto przysporzyła młodzież wielu szkół lwowskich, fundusze na zakupno krzyżów pamiątkowych i złożyła tę kwotę na ręce inspektora szkolnego dra Wołowicza, stojącego na czele komitetu konserwacyi tych grobów.

Zdjęcia nasze przedstawiają grupę młodzieży z drużyny skautowej szkoły Zimorowicza, krzątającą się około oprawy grobów, oraz widok ogólny tych grobów z prowizorycznymi krzyżami, ozdobionymi kwieciem, zerwanem z łąk i pól, za które dali swe życie dzielni bohaterowie.

Nowy dyrektor policyi krakowskiej

Naczelnik państwa zamianował dyrektorem policyi krakowskiej st. radcę dr. Jana Rękiewicza.

Nominacyę dyrektora Rękiewicza powitała ludność Krakowa z wielkiem zadowoleniem. Radca Rękiewicz w czasie swego długoletniego urzędowania dał się poznać jako urzędnik o pierwszorzędnych kwalifikacyach zawodowych i znakomitych zaletach obywatelskich. Wysoce wykształcony, niezwykle obowiązkowy i sumienny, obdarzony rzadką bystrością i wrodzoną kulturą, a przytem odznaczający się wyjątkowym taktem i uprzejmością,



Nowy dyrektor policyi krakowskiej: Dr. Jan Rękiewicz

zaskarbił sobie zaufanie szerokich sfer naszego społeczeństwa. Z właściwą sobie skromnością odmawiał objęcia ofiarowanego mu kilkakrotnie za austryackich czasów urzędu dyrektora policyi, jak gdyby wiedziony uczuciem prawego Polaka, nie chcącego narażać się na kolizye wynikające z obowiązków urzędnika zaborczego państwa.

Dopiero teraz, na propozycyę rządu polskiego zdecydował się radca Rękiewicz przyjąć to odpowiedzialne, a w obecnych stosunkach szczególnie trudne stanowisko.



Teatr wodewilowy we Lwowie: Grupa aktorów. (X) red. L. Daniluk, (XX) dr. J. Weiss, (XXX) reżyser M. Tatrzański.



Groby Wielkopolan pod opieką młodzieży szkół lwowskich: Widok ogólny grobów wielkopolskich oprawionych i ozdobionych przez dzieci lwowskie

Weatherley Chesney.

SZTYLET.

(Z angielskiego tłumaczył H.).

19

Starał się mnie przekonać, prosił i błagał, zaklinał, wreszcie groził. Zaświtał dzień. Towarzysz jego dawno już nas opuścił. Nic nie mogło zachwiać mem postanowieniem, to też w rozpaczy oświadczyłam mu wreszcie:

– Pociąg odchodzi o godzinie ósmej. Jeśli nie pozwolisz mi nim odjechać, obudzę mieszkańców domu i wydam was, złodzieje! Pochwycą cię na świeżym czynie. Czy przypuszczasz, że żona nie może stać się oskarżycielka męża? Zresztą te zrabowane rzeczy najlepiej świadczyć będą przeciw tobie.

Błagał, abym go nie porzucała, zapewniał o swej niezmiennej miłości, napróżno.

– Miłość? – zawołałam. – Wolę twoją nienawiść niż miłość. Nie znajduję dość słów, aby ci wyrazić, jak bardzo cię nienawidzę i pogardzam.

– A więc dobrze, pani, już dobrze, – syknął wreszcie przez zęby. – Wystarczy. Spełń dzisiaj twą wolę, ale moja godzina także kiedyś wybije, a wtedy pożałujesz tych gorzkich słów.

Rano wyjechałam do Londynu. Artur Durant stał, z kapeluszem w ręku, na peronie. Straszna ironia! Twarz jego była tak dyabelsko skrzywiona, że byłabym się przestraszyła, gdybym jeszcze wogóle bać się umiała.

Z gazet dowiedziałam się, że kradzież popełniono zarówno w Abbinghall jak i w Glenmoze i zrabowano wiele kosztowności. Książe de Lundy obudził się w czasie rabunku i chciał schwytać złodziei, zraniono go jednak w walce. Mr. Duranda nie było w domu, ale powrócił na drugi dzień. Policya nie natrafiła na ślad.

Wynajęłam mały pokoik, tu w Hammersmith i chorowałam szereg tygodni. Gospodyni otoczyła mnie serdeczną opieką, a kiedy zabrakło mi pieniędzy, dostarczyła mi pracy. Szyłam do sklepu jej siostry.

Dalsze zapiski z tego roku dotyczyły mniej ciekawych drobiazgów i spokojnego jej życia w Hammersmith. Później były ważniejsze ustępy i Mabel czytała:

– Kiedy dzisiaj opuszczałam sklep, do którego odnosiłam robotę, zauważyłam, że jakiś smukły młodzieniec mnie obserwuje. Wydał mi się znajomym i obejrzałam się za nim. To był Robert! Poznałam go natychmiast po szerokiej bliźnie na czole i blond włosach. Jak bardzo się zmienił i miał tylko jedną rękę. Krzyknęłam z radości, podbiegł ku mnie. Jakże smutne spotkanie! Biedny chłopak! Ile on cierpiał od chwili, gdy nas opuścił. Spacerowaliśmy długo po parku i opowiadaliśmy sobie o przeszłości. Dziwił się, że żyję sama i tak ubogo. Opowiedziałam mu bardzo nie wiele o moim mężu. Robert jedzie w przyszłym tygodniu do Szkocyi do grupy aktorów.

6 lutego. Spędziłam cały dzień z Robertem. Opowiadał mi wiele o swoich czasach Oxfordzkich i dopytywał się, dlaczego porzuciłam męża. Milczałam.

7 lutego. Prosi mnie, abym pojechała do z nim do Szkocyi i wstąpiła do jego teatru. Chętnie to zrobię, o ile mnie przyjmą. Będę mogła przebywać razem z Robertem i bardziej ubogo jak tutaj z pewnością żyć nie będę. Czy dobrze robię? Jeśli Artur kiedy się z Robertem spotka, gwałtowny jego charakter gotów go unieść za daleko.

9 lutego. Dzisiaj rozmowa z Mr. Flannery, który z miejsca zaangażował mnie jako „subretkę", jak się wyraził. To szczęście dla mnie! Mogę być przy Robercie i troszczyć się o niego. Biedny chłopak! Nie znał nigdy siostrzanej miłości. Kiedy nas opuścił miałam czternaście lat.

21 lutego. Dzisiaj mój pierwszy występ. Dają mi na razie role podrzędne, ale postaram się zadowolnić Mr. Flannery'ego, może potem pójdę naprzód. Wyraził się z uznaniem o mej grze, ale sposób i ton, w jakim to powiedział, nie podobał mi się. Nadmieniam, że zaangażowałam się jako Mary Western. Robert od roku gra pod nazwiskiem Dika Lamberta.

4 marca. Robert pokłócił się dzisiaj z Mr. Flannerym, który prześladował mnie swoimi czułościami. Został natychmiast wydalony. Stałam się mimowoli powodem jego nieszczęścia. Chętnie byłabym z nim odeszła, ale ponieważ właśnie zaproponowano mi podwyżkę gaży, twierdzi Robert, że lepiej zrobię zostając. Kto jest w biedzie, nie może wybierać. Nie rozłączymy się i tak i razem przeniesiemy się do innego teatru, skoro tylko sposobność ku temu się nadarzy. Mam dużo pracy, tak, że nie mam czasu robić moich notatek. Studyuję na zastępstwo rolę „Pauliny".

7 kwietnia. Wczoraj zajaśniała moja dobra gwiazda. Graliśmy „Narzeczoną lwa". Miss Hastings, pierwsza amantka, zachorowała i ja ją zastąpiłam. Mówią ogólnie, że odniosłam wielkie zwycięstwo, a Mr. Flannery przesadzał aż w nieprzyjemnych komplementach. Publiczność biła szalone brawo, ja tego jednak nie słyszałam, cała przejęta moją rolą. W przyszłym tygodniu mam grać „Julię", a to wymaga ciężkiej pracy.

.... Wczoraj grałam „Julię". Z początku miałam wielką treme, ale mój partner Mr. Vandeleur, który grał Romea, dodał mi odwagi i opanowałam się. Zdaje mi się, że grałam dobrze. W każdym razie podniesiono mi znowu gażę i mam objąć wszystkie role po Miss Hastings. Żal mi jej. Nic dziwnego, że z rozpaczy szuka zapomnienia w kieliszku.

20 kwietnia. Opowiedziałam Robertowi całą historyę o Arturze. Uważałam, że tak będzie lepiej. Oburzył się strasznie na niego. Nie mogę myśleć o tem, coby było, gdyby przypadek ich ze sobą sprowadził.

2 maja. Stało się, czego się obawiałam. Artur dowiedział się, gdzie przebywam. Dostałam dzisiaj straszny list od niego. Na szczęście mamy dzisiaj niedzielę. Ucieknę, skoro tylko przed tawienie się skończy, a Robert w poniedziałek pojedzie za mną. Dokąd, wszystko mi jedno, byle tylko uciec przed mym mężem.

4 maja. W Hniton, miłej wiosce nad Mye. Gospoda posiada niestety tylko jeden wolny pokój. Robert będzie mieszkał gdzieindziej. Cieszę się, że dzisiaj przyjeżdża. Dom pełen jest ludzi.

12 maja. Straszny dzień przeżyłam wczoraj. Kiedy spacerowaliśmy w ogrodzie, nadszedł Artur. Szukał mnie w Szkocyi i tu mnie znalazł. Przyszło do strasznej scysyi. Błagałam, tłomaczyłam. Wreszcie uspokoili się i Robert powiedział:

– Nie chcę panu robić wymówek za jego złodziejstwa, nie dbam o to, co pan robi, ale pan odpokutuje za to, że pan oszukał moją siostrę i uczynił ją nieszczęśliwą.

Wtedy Artur zaczął się tłomaczyć i gdyby był dyabłem, nie mógłby lepiej się bronić. Kiedy usłyszałam jego wywody, rumieniec wstydu oblał mnie wobec mnie samej na myśl, że mogłam mu kiedykolwiek ufać, że wogóle serce moje mogło go wybrać na męża. Robert patrzył na niego najpierw z pogardą, ale w miarę wywodów widziałam, że słucha go z zaciekawieniem i z bólem serca spostrzegłam, iż przechodzi na jego stronę. Niestety, jego słaby charakter był zawsze dla niego pułapką. Zanim dzień się skończył, byli dobrymi przyjaciółmi.

13 maja. Robert i Artur spędzili wczoraj cały dzień razem. Prawie ich nie widziałam. Mój biedny brat staje się podatnem narzędziem w rękach tego uwodziciela, czuję to już, że straciłam go zupełnie. Jest głuchy na moje prośby i ostrzeżenia.

14 maja. Odjechali razem. Bóg wie, co oni planują.

27 maja. Dzisiaj powrócili. Ucieszyłam się, kiedy zobaczyłam Roberta. W sąsiednim pałacu popełniono kradzież. Robert zauważył z uśmiechem:

– Mój pierwszy debiut. Wszystkiego trzeba w życiu próbować.

Jakie to straszne! Za kilka dni chcą wyjechać za granicę. Odetchnęłabym, gdyby Artur opuścił Anglię. Żeby przynajmniej Roberta wypuścił ze swych szponów!

ROZDZIAŁ XX.

Ucieczka Mabel.

Kiedy na drugi dzień otwarto drzwi i przyniesiono jej śniadanie, przekonała się Mabel z radosnem zdziwieniem, że przeznaczono jej na dozorcę owego mężczyznę, którego poznała pod nazwiskiem Roberta Kinga. Przez szereg następnych dni spełniał on też swe obowiązki ku jej zadowoleniu. Próbowała wciągnąć go w rozmowę, ale Robert pilnował się bardzo i nie chciał wdawać się z nią w rozmowy. Na usilne jej prośby, aby ją z więzienia wypuścił, odpowiedział wreszcie, że należy z tem zaczekać, aż powróci Mr. Richmond, który dla wypoczynku na kilkanaście dni na wieś wyjechał.

Rzecz prosta, że King czytał sprawozdánie o przebiegu włamania do „ogrodu Wery" i wiedział dobrze, że Fitzgerald już nie wróci, czekał jednak z dnia na dzień na jakieś polecenia od Mr. Keighley Gatesa. Ten tymczasem otoczył się przezornem milczeniem, kiedy dni zaczęły się kończyć, a nie było sposobów ich zdobycia.

Pewnego dnia drzwi więzienia zastała nie zaryglowane. Mabel otworzyła je cicho i rozejrzała się ostrożnie po korytarzu. Wejście do sieni było szeroko otwarte. Jak błyskawica przebiegła sień i znalazłszy się na ulicy, poczęła uciekać, nie troszcząc się o wrażenie, jakie to na przechodniach wywierało. Szło o jej życie. Biegła bez wytchnienia, nie zdając sobie sprawy dokąd i zatrzymała się dopiero, kiedy zobaczyła przed sobą pustą dorożkę. Zawołała na woźnicę i po krótkich rokowaniach, nie mogła bowiem z góry zapłacić, oświadczył tenże, że zawiezie ją do „ogrodu Wery". Wskoczyła do dorożki, woźnica zaciął konia i po chwili znalazła się Mabel na znanych jej ulicach. Oddychała swobodnie i przepełniona wdzięczną radością oparła się o siedzenie. Niebezpieczeństwo w zupełności minęło; nim godzina upłynie, znajdzie się w objęciach swoich najdroższych.

Nagle doszedł ją okrzyk chłopca gazetowego:

– Morderstwo w Andley Street!

Jakby dzwon pogrzebowy zabrzmiały dalsze słowa, jakie ulicznik wywoływał:

– Skazanie Jerzego Feutona!

ROZDZIAŁ XXI.

Mabel powraca.

Przez całą drogę brzmiały jej w uszach te straszne słowa; na każdym rogu ulicy widniały olbrzymie litery plakatów reklamowych głoszące następujące straszne słowa:

Dzisiaj!
Sprawa Jerzego Feutona.
Przesłuchanie i wyrok!

Kilkakrotnie podnosiła rękę, aby zatrzymać dorożkę i kupić gazetę, ale nie miała dosyć odwagi. Jak brzmieć mógł wyrok, wiedziała aż nazbyt dobrze, nie miała serca, przeczytać straszne te słowa. Jerzy, drogi jej brat, był w tej chwili skazanym zbrodniarzem, tylko kilka dni oddzielało go od strasznej hańbiącej śmierci.

Dorożka zatrzymała się przed domem. Dziewczę wyskoczyło i nie zwracając uwagi na radosny wykrzyknik służącego pospieszyła do wnętrza, kierując się do pokoju matki. Cicho otworzyła drzwi i weszła. Jedno spojrzenie pouczyło ją, iż najgorsze się już stało.

Ukochana matka jej siedziała pod oknem w fotelu. Twarz trupio blada, z oczu nie ciekła ani jedna łza. Nie mogła płakać. Jedną ręką oparła się na stojącym obok stoliku, druga spoczywała w dłoni męża, złamanego, nieszczęśliwego starca, który usiłował pieszczotą i gorącemi słowami ją pocieszyć. Pragnął ukoić jej straszną boleść bodaj na chwilę.

– Matko! mamusiu! – zawołała Mabel i rzuciła się ku obojgu z rozpostartymi ramionami. Spojrzeli zdumieni. Czy wzrok ich nie myli? Czy ostatnie nieszczęście nie odebrało im rozumu? Nie, stokroć nie! Mabel otoczyła oboje ramionami, drogie ich dziecko znowu było przy nich.

Moje dziecko! moje dziecko! – zawołała matka, przytulając Mabel silnie do piersi. I w tej chwili długo wstrzymywane łzy zaczęły powoli spływać po jej policzkach. Przepełnione serce znalazło ujście.

– A Jerzy? – szepnęła Mabel, ściskając dłoń ojca.

Ten odwrócił się; głucha cisza zapanowała w pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wystawa Formistów: Obrazy S. J. Witkiewicza. Dwa pierwsze: Panna F. grająca na skrzypcach, trzeci, Hamlet. (Zdjęte aparatem „Now. Ill.“)

Wystawa Formistów.

Od czasu do czasu zachodzą tak w życiu politycznem pewnych narodów, jak i w sztuce, przełomy, od których datuje się nowe życie i początek nowej epoki Podobnie jak niegdyś we wszystkich krajach Europy romantyzm, następnie naturalizm, symbolizm, a w sztukach plastycznych impresyonizm były wyrazem chwili i pewnej epoki — tak obecnie kubizm, ekspresyonizm i futuryzm są wyrazem najnowszych dążeń i jako konieczny sposób wypowiedzenia się współcześnie żyjących artystów zachodu.

Gdy idea naturalizmu w sztuce zbankrutowała, artyści poczęli rozglądać się za czemś nowem, za sztuką, którąby była nie koniecznie odbiciem i naśladowaniem fotograficznem natury, t. j. odtwarzaniem, ale była przedewszystkiem dziełem całkowitem twórcy, któryby z pomocą środków dostępnych jego sztuce dał wyraz swemu wewnętrznemu życiu i stosunku do wszechświata. Przekonano sie, że dokładne kopiowanie natury, jako takiej, nie zaprowadzi sztuki zbyt daleko, ale przeciwnie, sztuka musi raz utknąć na martwym punkcie, którym będzie nuda i bezpłodność. Przekonano się że główną zaletą obrazu jest jego ogólna kompozycya barw, linii, nagromadzonych mas (w rzeźbie, a także w malarstwie) i stosunek ich między sobą. Artyści zaobserwowali, że światem obecnie rządzi ruch, maszyna, dynamika i „synteza całości“, że artysta tworząc musi dać najistotniejszy wyraz współczesnego życia, a przedewszystkiem wyrazić stosunek samego siebie do wszechświata i natury, To też, aby odtworzyć taką sztukę, artysta musiał dać jej formy zupełnie nowe, inne jakiemi dotychczas posługiwała się sztuka. Bo też i życie nasze jest inne jak dawniej.

Naturalnie taka sztuka musiała być nieprzyjemnym zgrzytem dla przyzwyczajonych do „starej estetyki“ znawców i miłośników. Ten — jak wogóle każdy przełom musiał odbyć się burzliwie i artyści musieli walczyć, aby zdobyć obywatelstwo dla swych nowych ideałów artystycznych.





Leon Chwistek. — Portret żony artysty. Wystawa Formistów: Kompozycya form Tytusa Czyżewskiego. (Zdjęte aparatem „Now. Ill.“)

U nas malarstwo i rzeźba czas długi przestawały na martwym etapie. Wielkie talenty „Młodej Polski" poczęły zwolna wyczerpywać się i nudnie powtarzać.

Przed dwoma laty kilku młodych artystów w Krakowie, widząc w koło siebie pustkę i martwotę, postanowiło skonsolidować się. I tak powstała pierwsza wystawa wówczas jeszcze ekspresyonistów (gdyż formistami nazwali się później.).

Pierwszymi wystawcami i założycielami tego towarzystwa byli Andrzej i Zbigniew Pronaszkowie, Tytus Czyżewski, Leon Chwistek, Jan Hryńkowski i Jacek Mierzejewski. Mimo ostrych drwin zarozumiałej krytyki, publiczność i w tym wypadku za poczuciem własnem tłumnie zwiedzała wystawę i interesowała się młodymi a odważnymi artystami. Potem przyszła wystawa druga (formistów) wystawa we Lwowie, burzliwa ankieta „Gazety wieczornej". W sztuce tych młodych artystów znać już było mimo wpływów zachodu, dążenie i wysiłek do stworzenia swej oryginalnej własnej formy i własnego nowoczesnego stylu.



Wystawa Formistów: Obrazy Tytusa Czyżewskiego. 1. i 2) Obrazy wieloplaszczyznowe. 3) Madonna. 4) Zbójnik tatrzański. 5) Kwiaty. (Zdjęte aparatem „Now. Ill".)



Zjazd rękodzielników i przemysłowców we Lwowie
Prezydyum Zjazdu. (Fot. Münz, Lwów.)

W tym duchu jest i obecnie urządzona przez formistów wystawa w Towarzystwie Sztuk Pięknych na Placu Szczepańskim. Widzimy tam szereg dzieł o wybitnie zdecydowanym charakterze i o dążności wyeliminowania dawnych tanich malarskich efektów. Kompozycye barwne gnących się linii na znakomitych obrazach Chwistka i jakby załamywanie się soczewki, przez którą patrzący na swoją wizyę artysta daje utwór na wskróś intelektualny i dlatego trudny do zrozumienia, dla przyzwyczajonego do naturalizmu widza. Obrazy te zresztą odznaczają się dużą i oryginalnie pojętą, a subtelnie odczutą kolorystyką.

Czyżewski, indywidualność szukająca formy nowej, która w oku malarza eksperymentatora wiecznie się zmienia. Trudne zagadnienie powierzchni i łączących się z nią linii i kolorów wiecznie podniecа oko i umysł szukającego wciąż nowych dróg artysty. Jan Hryńkowski, genialny uczeń Pankiewicza mistrz drzeworytu i litografii uderza wszystkich swym „kuglarzem" i drzeworytami. Zamoyski August rzeźbiarz o subtelnem poczuciu formy o znakomicie opanowanym rysunku daje w swej rzeźbie portrecie (istocie) p. Dwarkowskiego niezwykle piękne zlanie się mody ze ślizgającem światłem.

Rozszalała linia barwna i niezwykle iście wschodnia fantazya kompozycyjna Witkiewicza (syna genialnego krytyka), daje zupełnie coś nowego i niezwykłego. Portrety Felkowicza to dzieło dużego kolorystycznego talentu. Mimo ostrych dyskusyi i starć w łonie krytyków i publiczności ciekawa ta wystawa rzuca nowe i niezwykłe światło na najnowszą sztukę polską, dążącą do stylowej syntezy.

Że nowy prąd futurystyczny budzi żywe i gorące zainteresowanie nie należy się temu wcale dziwić, a z drugiej strony drwiące uśmiechy, jakie często dają się zauważyć przed obrazami, również dowodzą braku niedorostu kulturalnego przedwcześnie przekreślającego to, co może w przyszłości nawet poważną pozycyę w malarstwie stanowić. Należy tylko zwrócić uwagę na fakt, że przecie w okresie szkoły matejkowskiej mydlarzami nazywano artystów współczesnej techniki malarskiej zupełnie, jak dziś z politowaniem wzrusza się ramionami na widok obrazu futurystycznego. Należy przeto spokojnie czekać i nie potępiać w czambuł nowego kierunku.

Zjazd rękodzielników i przemysłowców we Lwowie.

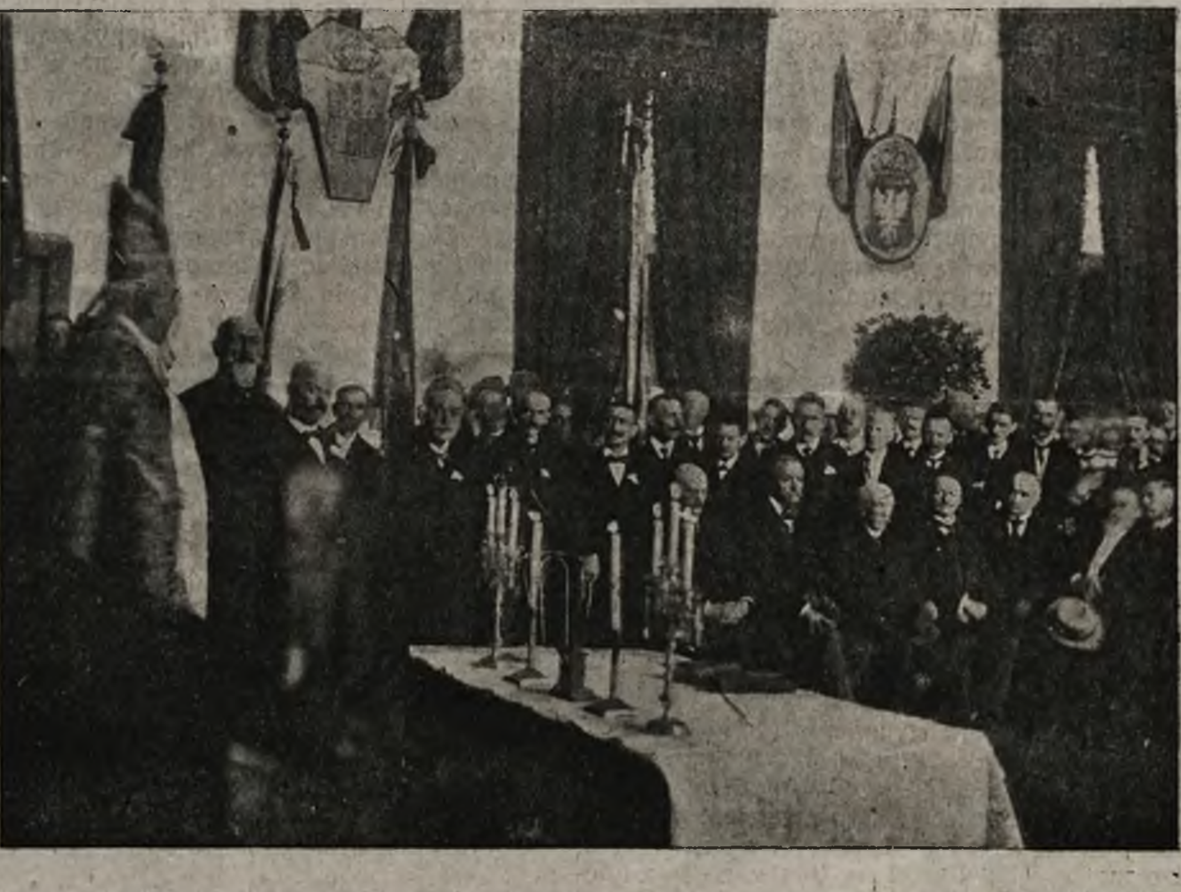
Przed kilku dniami odbył się we Lwowie zjazd rękodzielników i przemysłowców, połączony z uroczystem poświęceniem nowego gmachu Izby rękodzielniczej. Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w kościele archikatedralnym, poczem uczestnicy udali się do gmachu Izby rękodzielniczej na Placu Strzeleckim.



Zjazd rękodzielników i przemysłowców we Lwowie:
Nowy gmach Izby rękodzielników i przemysłowców.
(Fot. Münz, Lwów.)

W udekorowanej pięknie sali ustawili się chorążowie wszystkich cechów i korporacyi ze sztandarami. Przybyli między innymi prezydent Neumann z gronem radnych, reprezentanci z generałem Nowotnym, kilku posłów i dwustu delegatów z całego kraju, wśród których Jan Radnicki przełożony kamieniarzy i poseł z Warszawy, oraz Mieczkowski poseł ziemi łomżyńskiej.

Po poświęceniu gmachu i po okolicznościowych przemówieniach prezesa Izby rękodzielniczej Schirmera, reprezentanta rządu radcy Zimnego, p. Łozińskiego imieniem Wydziału krajowego, prezydenta miasta p. Neumana, p. Baczewskiego imieniem Izby handlowej i przemysłowej, oraz delegatów krakowskich: Kossobudzkiego i Iglickiego zakończono uroczystość poświęcenia gmachu wpisaniem się obecnych do księgi pamiątkowej. Po tych przygotowawczych uroczystościach nastąpiły obrady, na których powzięto szereg ważnych decyzyi tyczących się przemysłu i rękodzielnictwa w Polsce.



Zjazd rękodzielników i przemysłowców we Lwowie: Uroczyste poświęcenie gmachu Izby rękodzielników i przemysłowców. (Fot. Münz. Lwów.)

Marya Toczyska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

9

— Jak się niema pieniędzy — rzuciła szorstko — to się długów nie zaciąga. Zapomina ojciec, że ja ciężko pracuję, że znikąd pomocy niemam i że ledwie koniec z końcem związać mogę. Rzeźnik i sklepiczarka już na kredyt dawać nie chcą. Już w całej kamienicy wiedzą o naszej nędzy i brakach!

— Tylko spokojnie moja kochana! bo ja histerycznych wybryków nie znoszę. Ty, znowu zapominasz, że cię wydałem za mąż, a wiesz, że w naszych warunkach łatwe to nie było. Mam więc prawo do jakichkolwiek względów z twojej strony. Od czegóż masz męża do dyabła!

— Mój mąż! Czy ty widzisz ojcze, jak my żyjemy z sobą? Przecież on ma do mnie żal straszny, że oszukaliście go, obiecywaliście posag, na który on liczył.

— Moja kochana — odparł sentencyonalnie Bogucki — każdy człowiek na coś liczy w życiu. I ja także liczyłem, że znajdę w Ludwiku usłużnego i wdzięcznego zięcia, a tymczasem...

— Ależ cóż ci on dać może, kiedy sam niema. Wiesz dobrze, jak wygląda ta jego osławiona posada, a lepszej prędko nie znajdzie. Ludwik co dzień obiecuje, że się to zmieni, a tymczasem traci to niewiele co ma, w towarzystwie kolegów.

— To bardzo źle, że masz tak mało wpływu nad nim. Kobieta z twoją urodą i inteligencyą.

— Ah! ojcze, nie mówmy o tem — żachnęła się Janka niecierpliwie. Moje małżeństwo było fatalną omyłką, ale ja dotąd nie skarżyłam się nigdy. Ale teraz, kiedy ty do mnie przychodzisz i jakgdybyś o niczem nie wiedział... żądasz jeszcze odemnie... Nie! to już za wiele doprawdy!

Usunęła się na krzesło drżąc z zdenerwowania i oburzenia.

Bogucki przeszedł się parę razy po pokoju, w końcu zapalił papierosa i usiadł wygodnie na kanapie.

No, no, niema o co robić takich historyi. Jeżeli jest źle, dużo w tem twojej winy!

— Mojej?

— A oczywiście. Dlaczego nie chciałaś iść do dyrektora prosić za Ludwikiem. Wszystkie żony tak robią i żadnej korona z głowy nie spadnie. Jesteś zanadto dumna, nieugięta. Ciągle ci się zdaje, że jesteś jeszcze panna na Zagajnikach, a Zagajniki już fiu! fiu! daleko!

Dziwię się, że ojciec może mówić coś podobnego. Czy ojciec nie wie, jak ubliżająco zachowywał się względem mnie ten człowiek, kiedy raz poszłam do niego zmuszona waszemi naleganiami. Oh! nigdy już więcej tego nie zrobię! Zanadto by mnie to kosztować mogło.

— Wszystko dziś na świecie kosztuje — filozofował, puszczając kółka dymu w powietrze. — No cóż? dodał po chwili — więc mi odmawiasz tej drobnostki.

— Nie odmawiam, tylko dać nie mogę, bo niemam.

— To na jedno wychodzi — westchnął ciężko Bogucki. — Ładne czasy nastały! Mieć tu zięciów i córki. Ja tak liczyłem na ciebie.

Janka w milczeniu powróciła do swojego zajęcia i cisza zaległa pokój, przerywana tylko westchnieniami Boguckiego, który rozmyślał, u kogo odbić się za zawód doznany od córki.

Po jakiejś chwili powróciła z miasta Bogucka. Zadyszana była i zmęczona, pot kroplami spływał na czole z pod kapelusza włożonego zupełnie krzywo.

— No, chwała Bogu! Niema jeszcze nikogo! Bałam się spóźnić.

— A kogoż ty oczekujesz, moja kochana? — rzucił leniwie z kanapy Bogucki.

— Zamówiłam dziś u siebie posiedzenie pań. Obliczyć mamy bilans ostatniego wieczorku na głodne dzieci.

— Tutaj? Sfiksowałaś chyba! Jeszcze mi tej przyjemności brakowało.

— Proszę cię, może byłbyś łaskaw mniej trywialnie się wyrażać — odcięła Bogucka obrażona.

— Ależ tu tak ciasno — zauważyła Janka. — Isia się tu musi uczyć jak wróci.

— A wasz pokój?

— Ludwik nie chce być krępowanym u siebie.

— Proszę! u siebie! Dlaczego więc, jeżeli wam tu ciasno, nie wzięliście tamtego mieszkania po drugiej stronie schodów, tak, jak mieliście zamiar.

— To było niemożliwe! Fundusze nasze są tak ograniczone...

— Tak! — oburzyła się Bogucka, rzucając kapelusz i płaszcz na poręcz kanapy. Więc ja dlaczego mam być krępowana w swojem własnem mieszkaniu.

Gorąca fala krwi buchnęła Jance do skroni. Zwróciła się żywo do matki porzucając robotę.

— Pozwoli sobie mama powiedzieć, że to ja mieszkanie nasze z trudem opłacam sama. Przykro mi, że muszę poruszyć te kwestyę, ale skoro mama sama nie widzi niewłaściwości w urządzaniu zebrań w celu osobistym...

Bogucka żachnęła się, jakby jej nagle tchu w piersiach zabrakło.

— W celu osobistym — powtórzyła wzburzona. Czy ja dobrze słyszę? Jak śmiesz się tak lekceważąco wyrażać o naszej, wielkiej, społecznej pracy! Zresztą skoro już mówimy o tak drażliwych rzeczach, to znowu ja muszę ci przypomnieć, że cała pensya ojca idzie na wspólne utrzymanie domu.

— Cała pensya ojca? Oh! tak! rzeczywiście! nie mogła już zapanować nad sobą Janka.

— A może nie! To dla ciebie nic nie znaczy! co?

Bogucki zerwał się z kanapy i podszedł do żony z łagodnym uśmiechem na twarzy.

— Ależ moje kochane! — tłumaczył spokojnie — niema o czem mówić! W rodzinie nie powinno się takich rzeczy wypominać. Myślałby kto, gdyby nas słyszał, że pochodzimy ze stróżów, albo kramarzy. Fi donc! moje panie! Pozostawmy tym ludziom podobne niesmaczne zatargi! Czy ja, czy ty, czy twój mąż, ktoś przecież opłaca to mieszkanie, skoro w nim mieszkamy. To dosyć jasne i z tego kwestyi robić nie będziemy. Więc spodziewasz się gości? zwrócił się uprzejmie do żony... W takim razie ulotnię się i sprawa skończona!

— Nie dosyć, że człowieka dzień cały pochłania tak wyczerpująca praca, jeszcze w domu, zamiast uznania spotykać się muszę z nieprzyjemnemi wymówkami — mruknęła Bogucka, odchodząc do sypialnego pokoju.

— No i patrzcie państwo! — zaśmiał się Bogucki, nadrabiając miną. — Cała awantura! Bo też ty Janka niepotrzebnie drażnisz matkę. Po co jej było to mówić, wymawiać mieszkanie?! Dajże jej się bawić w agitacye społeczne, kiedy jej to widocznie do zdrowia potrzebne.

— Chciałam tylko sprostować mylne jej pojęcie — odparła chłodno Janka. — Ojciec wie chyba sam najlepiej, że to, co w ostatnich miesiącach otrzymuję na utrzymanie domu...

— No, tak, nie wiele tego było — przerwał szybko Bogucki. — Ale przy oszczędności dałoby się pociągnąć.

— Ojciec widać niema najmniejszego pojęcia co dziś życie kosztuje.

— Moja Janko — w głosie Boguckiego czuć było obrazę i wyrzut — nie zechcesz mnie chyba obdzierać z jedynych przyjemności jakie mi zostały: Bo cóż, ta kawiarnia, od czasu do czasu bilecik do teatru, coś tego...

— Ma ojciec słuszność — rzuciła Janka sucho. — Niema o czem mówić.

— A widzisz. Żal ci teraz ojca, żeśmu i to odebrać chciała... Słuchajno Janka — rzekł po chwili Bogucki z serdeczną poufałością zbliżając się do córki. Dawno ty miałaś wiadomość od Leszczyca?

Zdawało się, że Janka nie zrozumiała pytania ojca. Milczała długo, patrząc w osłupieniu przed siebie, w końcu powtórzyła nieswoim, bezwdzięcznym głosem:

— Od Leszczyca? Ojciec pytał o pana Leszczyca?

— No tak. Cóż się tak dziwisz?

— Ale skąd to pytanie, na miłość boską, skąd to pytanie? — szeptała, nie mogąc zoryentować się jeszcze.

— A bo tego... widzisz, myślałem, że korespondujecie ze sobą. Leszczyc, słyszałem bardzo się wyrobił. Posłał na wystawę obraz i dostał nagrodę, a jakże? Nie wiedziałaś? Zagraniczne pisma wyrażają się o nim z wielkim uznaniem. Podobno ma powrócić do Krakowa i objąć profesorstwo w Akademii.

Janka miała wrażenie, że śni. Cały pokój kołował z nią razem i słowa ojca dochodziły ją jakby z dalekiej, jakiej przestrzeni. Odetchnęła kilka razy głęboko i przetarła oczy, starając się powrócić do równowagi.

— Po co ojciec mówi mi to wszystko? — wymówiła z trudem.

— Ot, tak sobie, en passant — odrzekł swobodnie Bogucki, który nie zauważył jej wzruszenia. Myślałem, że cię to zainteresuje. Przecież tam między wami coś.. tego... wiązać się zaczęło niegdyś. Szkoda, żeś go nie umiała dłużej zatrzymać. Dzisiaj wyrobił sobie stanowisko, imię...

— Proszę cię ojcze, nie mów nigdy więcej ze mną o panu Leszczycu i przestań się nim zajmować — przerwała surowo Janka stanowczym głosem.

— Oh! jak ci się podoba, moja kochana. Widzę, że znowu jakaś mucha usiadła ci na nosie. Ja sobie tak, tylko najniewinniej, z dobrego serca, a ty zaraz na wielki ton dmuchać zaczynasz. Z temi kobietami, to doprawdy nie wiadomo jak! Przybliż się, a zaraz kłuje jak jeż... Jeżeli tak postępujesz z Ludwikiem...

Janka wstała szybko od stolika i wyszła do przedpokoju.

— Cóż to, wychodzisz? — zawołał za nią Bogucki.

— Tak. Mam lekcye w mieście.

— A to i ja idę. Niemam wcale ochoty spotkać się z temi damami od dobroczynności. Pewnie wszystkie stare i brzydkie.

W kwadrans później w niewielkiej jadalni Boguckiej gwarno było i szumno. Pierwsza przybyła radczyni Szczurkiewiczowa z córką, wysoką, chudą, trzydziestokilkoletnią panną, udającą podlotka, potem doktorowa Waligórska, a na samym końcu zjawił się podtatusiały młodzieniec Mackiewicz, zawerbowany w roli skarbnika stowarzyszenia. Mackiewicz już od kilkunastu lat „robił w dobroczynności", wysługując się wszystkim paniom, w nadziei okupienia swoich trudów znalezieniem żony posażnej i z dobrem nazwiskiem. Do tej pory jednak, wszystkie zabiegi jego okazały się bezowocne. Mackiewicz żółkł i łysiał coraz bardziej w daremnem oczekiwaniu.

Na intencyę gości Bogucka kazała Felce poprzynosić wszystkie lampy mieszkania do jadalnego pokoju i poustawiać na stole. To forsowne oświetlenie wypędziło zwykłą szarość i ponurość jadalni, po której rozszedł się teraz mocny zapach perfum, wiejący od kosztownych futer i jedwabiów przybyłych pań.

Doktorowa Waligórska, dzwoniąc mnóstwem świecących breloków zawieszonych u paska sukni, w wystudyowanej pozie usiadła na kanapie spoglądając ciągle na zegarek, z lekkim marsem zniecierpliwienia między brwiami mocno podczernionemi.

Szczurkiewiczowa zaś z nieodstępną córką, Henią, uczepioną stale u jej boku, zajęła miejsce obok Boguckiej, zatopionej już w foliałach leżących przed nią na stole.

— Stawiłyśmy się na wezwanie kochanej pani — zagaiła rozmowę radczyni — chociaż co do mnie wyznaję, że czuję się bardzo zmęczoną. Już piąte dziś posiedzenie.

— Chciałam już nareszcie zamknąć te rachunki z ostatniego naszego wieczoru — odparła Bogucka. — Tyle jeszcze mamy pracy przed sobą!

— Ah! praca! praca! — westchnęła nieszczerze doktorowa przeglądając się w małem, ręcznem lusterku wyjętem z srebrnej torebki.

— Cóż pan Stanisław dziś tak zamyślony? — zwróciła się podstarzała panna Henia, do siedzącego Mackiewicza. Czy może dręczą miłe wspomnienia z zabawy naszej?

— Pani zanadto łaskawa. Zakatarzyłem się okropnie i głowa mnie boli.

Panna Henia uśmiechnęła się filuternie, pokazując dwa rzędy olbrzymich, żółtych zębów.

— Czy tylko głowa? — szepnęła, pochylając się wdzięcznie. A wie pan, że i ja czuję się jeszcze jakaś nieswoja! Przedziwnie się bawiłam! Ostatni kotylion był wprost bajeczny! Ah! ten walc, boski, upajający walc! leciutki szmer rozmów, zapach kwiatów.

Przymknęła oczy rozmarzona wspomnieniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Przejazd statkiem przez Havelseen.



Pierwszy pasażerski statek nadpowietrzny: Widok ze statku na Ulm i Dunaj.

Straszna zbrodnia w Krakowie.

Dnia 13 b. m. wieczorem w domu przy ul. Siemiradzkiego l. 12 w Krakowie, zamordowano właścicielkę tegoż domu ś. p. Sądecką. Na miejscu zbrodni zjawił się dyrektor policyi Rękiewicz, w towarzystwie komisarzy i agentów. Poszukiwania nie wydały początkowo rezultatu. Kiedy jednak około godz. 9 wieczorem zaczęto przesłuchiwać lokatorów, jeden z nich, Henryk Grodzki, ryg. praw, zwrócił na siebie uwagę policyi. Zachowywał on się na miejscu wypadku w sposób, dający wiele do myślenia. Po pewnym czasie poddano go bliższej obserwacyi na miejscu zbrodni, poczem w ogniu krzyżowych pytań Henryk Grodzki począł się mieszać, wreszcie z płaczem przyznał się do winy, opowiadając drobne szczegóły krytycznego dnia. Wedle jego zeznań wszedł on do mieszkania ś. p. Sądeckiej i zażądał podpisania weksla na 7.000 koron. S. p. Sądecka odmówiła temu kategorycznie. Wtedy Grodzki wyjął braunning i strzelił z odległości jednego kroku cztery razy, kładąc swoją ofiarę trupem na miejscu. Grodzki, dokonawszy morderstwa, strzelił do siebie, ale chybił. Po chwili oprzytomniał, lecz nie miał odwagi popełnić samobójstwa. Upozorował więc rabunek, wyrywając podważone przy pomocy noża szuflady komody. Pieniędzy jednak nie zabrał. Następnie otworzył tylne drzwi kluczem od wewnątrz, zamknął je i udał się do swego mieszkania.

Grodzkiego po tych zeznaniach aresztowano. Na policyi Grodzki zeznał, że ś. p. Sądecka, była przeszkodą w pożyciu jego z p. Taszycką jej córką. Od pierwszej chwili poznania p. Taszycka, żona wysokiego urzędnika ministeryalnego w Warszawie skarżyła się na swą matkę. Plan zamordowania matki jej nurtował go od dłuższego czasu, a nawet kilka dni przed popełnioną zbrodnią usiłował dokonać morderstwa, jednak nie udało się mu to, bo ś. p. Sądecka zatrzasnęła drzwi przed napastnikiem, przebranym za żebraka. Taszycka dowiedziawszy się o chybionym napadzie, powiedziała: „Szkoda, że się nie udało". Po tych zeznaniach aresztowano także Taszycką.

Grodzki, to typowy neurastenik. W pewnych chwilach okazuje skruchę, by za chwilę przeczyć wszystkiemu. O Taszyckiej mówi, że go opanowała, że był w stanie pod jej wpływem uczynić wszystko. Taszycka, jak zeznaje, niejednokrotnie wyraziła się, „że starą należy zgładzić — a mnie to wystarczyło".

Zofia Taszycka, młoda jeszcze kobieta i egzaltowana. Podczas zeznań przeczy by była winna.

Dalsze śledztwo okaże wysokość winy aresztowanych, na których zbrodnia wycieka jakieś dziwne piętno. Młody człowiek, opętany przez starszą kobietę był narzędziem w jej rękach. Chorobliwa miłość pchnęła ich do zbrodni.

Rozprawa odbędzie się przed sądem przysięgłych.

Pierwszy pasażerski statek nadpowietrzny.

Zaledwie została przywrócona komunikacya między Francyą a Niemcami, przekonano się, że w Niemczech rozpoczyna się szeroką falą i gorącym zapałem płynące życie pracy, zdążającej do przywrócenia na każdym kroku przedwojennego stanu rzeczy. Praca ta, idąca w rozmaitych kierunkach, stara się wszędzie o wzmocnienie tego, na czem zawsze Niemcy się opierały i ku czemu wszystkie ich cele kierowały się, t. j. do stworzenia silnej armii, która jest przed Europą reprezentantem niemieckiej kultury. Dążenie do udoskonalenia wojskowych środków technicznych spowodowało również bardzo silny ruch w awiatyce. Starania doprowadziły już do poważnych wyników. W ostatnich dniach wybudowano nawet nadpowietrzny statek pasażerski, według systemu Zeppelina, który rozpoczął swój lot 24 sierpnia między Berlinem a Friedrichshofen. Statek ten ma pojemność 21 podróżujących. Wielkie garaże znajdują się w Stacken koło Spandau. Posiada on bardzo wygodne urządzenie, nie ustępujące kompletnemu urządzeniu luksusowych pociągów. Jedyną wadą jest to, że ze względów technicznych o stosunkowo jeszcze małej pojemności, nie daje zupełnej swobody ruchu podróżującym. W każdym razie jest to wspaniały postęp na polu awiatyki.



Henryk Grodzki.



Zofia Taszycka.

Straszna zbrodnia w Krakowie: (Fot. aparatem „Now. Ill.")

Kronika tygodniowa.

Wakacye letnie już się skończyły, węglowe jeszcze nie zaczęły, należałoby się więc spodziewać, że nauka w naszych szkołach idzie już normalnym torem.

Niestety, tak nie jest!... Podobnie, jak mamy kraj nasz bez granic i bez konstytucyi, więc też i bez rządu, tak i szkoły nasze, zwłaszcza średnie, znalazły się w tem miłem położeniu, że nie mają nauczycieli, programu naukowego i książek.

A jak musi wyglądać w takich warunkach nauka, która się właściwie jeszcze nie rozpoczęła, a niebawem ma się już skończyć, pojmie chyba każdy, choć nie jest zawodowym znawcą szkolnictwa.

Na brak sił nauczycielskich, których dotąd mieliśmy dość, wpłynął gwałtowny odpływ w Poznańskie i do Kongresówki, gdzie teren pracy pedagogicznej jest więcej obiecujący i warunki materyalne daleko pomyślniejsze.

Wystarczy powiedzieć, że w zakładach, w których na zapytania ciekawego, ilu też jest członków grona nauczycielskiego, odpowiadał tercyan z dumą: „Ze mną i z panem dyrektorem razem trzydziestu sześciu profesorów!"... pozostało najwyżej dziesięciu. Reszta poszła w świat za chlebem, bo ten, który tu spożywać im przyszło, był i suchy i niesmaczny, a minęły już bezpowrotnie te szczęśliwe czasy, kiedy to suplent za sto trzydzieści trzy krorony i trzydzieści trzy halerze miesięcznie mógł wyżyć... bo musiał.

Rada Szkolna krajowa, która kieruje nadal sprawami szkolnictwa w byłym zaborze austryackim, doszła wprawdzie nareszcie do przekonania, że trzeba coś zrobić i dla nauczycielstwa średniego, ale, wobec znanej życzliwości centralnych władz warszawskich dla tak zwanej Małopolski, nie należy się spodziewać, aby słowo rychło stało się ciałem, obietnice są zaś zbyt eteryczne, by się niemi można nasycić.

Nie pozostało zatem nic innego, jak spakować manatki i wybrać się w świat w poszukiwaniu szczęścia, do którego każdy wzdycha, nawet pedagog.

I zostały nasze szkoły średnie w wielkiej liczbie bez sił nauczycielskich, bo trudno chyba powoływać na ich miejsce ludzi z „domowem wykształceniem", dającem wprawdzie kwalifikacye do piastowania najbardziej odpowiedzialnych stanowisk rządowych, ale nigdy kierowników młodego pokolenia.

Zrozumieli to nawet już i rosyjscy bolszewicy i dali sobie spokój z mianowaniem tercyanów dyrektorami zakładów naukowych, więc i my pójdziemy chyba ich śladem.

Przed laty, gdy naszemu szkolnictwu dał się we znaki podobnie katastrofalny brak nauczycieli, pozapychano na razie dziury prawnikami i medykami, dziś zaś i na to liczyć nie można, gdyż każdy z nich znajdzie gdzieindziej i łatwiejsze i popłatniejsze zajęcie.

Choćby nawet i bardzo rychło weszła w życie proponowana przez Radę Szkolną krajową poprawa bytu, na mocy której nieegzaminowany zastępca nauczyciela miałby dostać podwójną dotychczasową płacę, a egzaminowany (z trzyletnią praktyką) dziewiątą rangę, niczem to jest w porównaniu z obecną drożyzną.

Winę w zupełności ponosi Rada Szkolna krajowa, która powinna była przewidzieć, że coś podobnego może się przydarzyć i zawczasu zaradzić złemu.

Gdyby nauczycielom ofiarowano takiesame warunki, jakie znaleźli w Poznańskiem i Kongresówce, z pewnością bardzo wielu z nich byłoby się z miejsce nie ruszało, ale zostało na swych śmieciach.

Zupełnie to samo można powiedzieć o braku programu naukowego.

Skoro się wiedziało, że się będzie uczyć, należało zastanowić się nad tem, jak. A od tego, dopóki były zabór austryacki nie stanowi jednolitej całości z resztą kraju, jest Rada Szkolna krajowa, w której gronie zasiadają mężowie światli i przewidujący, którzy nie powinni decyzyi odkładać na ostatnią chwilę, bo, co nagle, to po dyable!...

Powie kto może, że, skoro brak sił nauczycielskich, to się obejdzie i bez programu naukowego... I to prawda, ale, z tego punktu zapatrywania wychodząc, należałoby się pogodzić i z brakiem podręczników, a tymczasem słyszy się z tego powodu liczne i zupełnie uzasadnione narzekania.

W tym wypadku Rady Szkolnej krajowej nie winię, gdyż nowych podręczników z rękawa nie wytrzęsie, a niejeden z jej członków byłby nawet zadowolony, gdyby za ułożenie nowego zgarnął do kabzy nieco koron.

Brak książek, to już następstwo stanu wojennego. Dawniejsze nakłady wyczerpane, nowych nie robiono, nic też dziwnego, że wszelkie podręczniki stały się dziś rzadkościami bibliograficznemi i że na nich dobre interesy robią spekulanci. Drożyzna odbija się i na handlu książkami szkolnemi. Dziś trudno zmusić ucznia (o ile nie jest synem paskarza, lub dostawcy...) do kupienia sobie zeszytu, a cóż dopiero książki, za którą trzeba płacić na wagę złota lub niechajby i koron papierowych, choć one mają obecnie wartość tylko czterech centów byłej austryackiej waluty.

I w takich warunkach ma się odbywać nauka i to bardzo intenzywna, gdyż rok szkolny rozpoczęto później niż zwykle, a nowe, wojenne wakacye „węglowe" już za pasem.

Ot, musi się coś robić, jak to dawniej mówiono „na optykę", ale jaki z tego będzie pożytek, zwłaszcza dla młodzieży?...

Odpowiedź na to pytanie bynajmniej nie trudna! Młodzież nauczy się wszystko zbywać lekko i nabiera jeszcze więcej wstrętu do poważnej i produktywnej pracy.

Za ś. p. austryackich czasów narzekaliśmy na to, Uniwersytet krakowski wystosował nawet memoryał do Rady Szkolnej krajowej, w którym ubolewał nad niedostatecznem przygotowaniem młodzieży do studyów wyższych, teraz będzie jeszcze gorzej.

Lat temu czterdzieści, dobrze się trzeba było napracować w szkole i w domu, aby zadość uczynić wymogom, egzamin dojrzałości zaś. to nie było byle co, ale też zato z ówczesnych szkół wychodzili ludzie, pojmujący poważnie swe obowiązki i uważający pracę za cel swego życia.

Z czasem reformatorowie szkolnictwa zmienili swe zapatrywania i powiedzieli, że uczeń ma się wszystkiego nauczyć w szkole, a jakiś tam pan Merkert, czy inny wiedeński minister, mając syna matołka i bojąc się, aby przy maturze nie przepadł, tak ją ułatwił, że dla średniego ucznia, który dawniej na jakie takie przygotowanie się potrzebował nieraz i całego roku, dziś wystarczą dwa tygodnie, nie mówiąc już o tak zwanych maturach wojennych, wykwicie obecnych stosunków.

Do takiej „wojennej" mógłby dawniej śmiało zasiąść uczeń po ukończeniu klasy trzeciej, w której miał sposobność zaznajomić się z pierwszemi zasadami greczyzny.

Gdyby to młodzież obecna chciała bodaj należycie wyzyskać wolny czas (jak się zapewne spodziewali reformatorzy...) wszystko byłoby na miejscu. Tak jednak nie było. Dla wielu był to czas poprostu stracony, przeznaczony z urzędu na próżniactwo, nie wiodące nigdy do dobrego.

To też bardzo prędko okazały się fatalne skutki tego systemu, który zrodził pokolenie, nauczone wszystko lekko traktować i zbywać niczem.

A dziś jest jeszcze gorzej!... Dzisiejsza młodzież nie tylko nie odznacza się zamiłowaniem do pracy, ale poprostu czuje do niej wstręt, a chodzi do szkoły tylko po to, aby otrzymać świadectwo, gdyż tak popularne dziś „domowe wykształcenie" to najnowszy wynalazek, ktory u nas się jeszcze nie zaaklimatyzował.

U nas to świadectwo ma jeszcze jakowyś walor.

Ponieważ zaś każdy bardzo chętnie postępuje tak, jak mu wygodniej i przyjemniej, próżniactwo zaś jest i wygodne i przyjemne, nic też dziwnego, że uczniowie trzymają się ściśle instrukcyi dawnej, skoro nowa dotąd się nie pojawiła i w domu na książkę nawet nie spojrzą. Skoro bowiem powiedziano wyraźnie, że w szkole powinno się wszystkiego nauczyć, aby w domu mieć czas na wypoczynek, bo tak być musi.

Jeśliby kto sądził, że młodzież zyskała na tem bodaj fizycznie, to jest w błędzie. Wystarczy popatrzeć na pierwszego lepszego młodzieńca, a mimowoli przychodzi na myśl.. wymoczek!

Było więc źle już przed samą wojną, ale stokroć gorzej w czasie jej trwania i będzie po niej, zanim życie, a z niem i nauka, wejdą na normalne tory.

Dawniej bodaj w szkole miał się uczeń sposobność i obowiązek czegoś nauczyć, a dziś i to odpada z powodów wyżej przytoczonych. Nauka odbywa się, lecz tylko, aby się nazywało, że się coś robi. Ale też i nie może być inaczej, skoro brak sił nauczycielskich, planu i podręczników... Ktoby tam zresztą myślał o maturze!... Wojenną tak, czy owak się zda, w ostatecznym wypadku zostaje zresztą jeszcze jedna, także „wojenna" deska ratunku, a tą jest „domowe wykształcenie".

Ostatecznie przeciw domowemu wykształceniu nic mieć nie można, ale musiałoby ono być pojęte na seryo, a nie tak, jak się to obecnie utarło w Królestwie Polskiem.

Wykształcenie domowe jest nieraz bardzo pożądane, ale musi być prowadzone racyonalnie i zupełnie seryo, pod fachowem kierownictwem, choć i bez niego można się obejść. Znamy wielu ludzi, na wybitnych nawet stanowiskach, który to, czem dziś są, zawdzięczają tylko sami sobie i domowemu wykształceniu, jakie się im, dzięki ciężkiej pracy nad sobą, udało zdobyć.

Ale w Królestwie inaczej się na tę kwestyę zapatrują. Tam widocznie pomięszano pojęcia „samouk" i „nieuk".

Owego „domowego wykształcenia" mamy dwa rodzaje. Jedna kategorya ludzi, nie miała w młodości czasu na kształcenie się umysłowe, zmuszona chwycić się pracy fizycznej, a dziś, znalazłszy się, dzięki pomyślnym dla niej konjunkturom, u steru, powołuje się na „domowe wykształcenie", nie mogąc się wykazać szkolnem, wymaganem zwykle od kandydatów na ministrów, szefów sekcyi i t. p. Druga osiągnąć je mogła, ale nie chciała, uważając, że zbytnie przeciążanie się nauką źle wpływa na zdrowie fizyczne, a tylko w zdrowem ciele lubi siedzieć silny duch.

Ci panicze w pierwszej swej młodości nauczyli się wprawdzie od bon i guwernantek paplać po francusku, z biedą czytać i pisać, potem, celem otarcia się w świecie, wyjechali za granicę.

I jedni i drudzy, znalazłszy się dziś na fotelu ministeryalnym, czy też jakiegoś szefa sekcyi lub innego dygnitarza, są też w kłopocie. I nic też w tem dziwnego, że taki pan na podaniu petenta o posadę pisze własnoręcznie: „Proszę *przyjońć!...*", albo też, chcąc napisać prośbę o zwolnienie z uzyskanego stanowiska starosty, które mu się nie podoba, nie wie, jak się do tego zabrać, gdyż „drukowane" czyta jako tako, ale w piśmie jest słaby!

Przy robieniu „wielkiej polityki" dziś to przecież nie przeszkadza, tak, jak niegdyś nie przeszkadzało przy robieniu majątku.

Znamy w Krakowie pewnego milionera, który w młodości zdobył fachowe wykształcenie, a dzięki jemu i swej przemyślności i majątek. Niestety, ani pisać, ani czytać nie umiał, co mu się zaczęło dawać we znaki dopiero wtedy, gdy jako finansista musiał przeprowadzać różne transakcye, podpisywać weksle, kontrakty i t. d.

Mając około pięćdziesiątki, trudno się zapisywać do szkoły, nic też dziwnego, że chwycił się ostatniej deski ratunku, a było nią „domowe wykształcenie", ograniczające się na poznaniu tajników wielkiego i małego abecadła. Przemęczył gorliwie parę miesięcy i nauczył się tyle, że się mógł podpisać bez błędu pełnem imieniem i nazwiskiem. Dzień, w którym przyjęto w banku jego pierwszy weksel z własnoręcznym podpisem, był dlań dniem tryumfu!

Nie takie jednak „domowe wykształcenie mam na myśli, o ile rozchodzi się o naszą młodzież.

Wychodząc z zupełnie innego punktu widzenia, niż c. k. austryacki znawca padagogii, twierdzę śmiało, że uczeń w szkole nie jest się w stanie wszystkiego nauczyć. Szkoła daje podstawy i wskazuje kierunek, reszty dokonać ma domowe wykształcenie.

Cóż jednak począć, skoro tak być nie może, bo niema nikogo, kto chciałby się tem zająć.

Część nowoczesnych pedagogów powiada w myśl dawnej ministeryalnej instrukcyi, że uczeń poza szkołą nic ich nie obchodzi, robią bowiem nawet więcej, niż powinni za to marne wynagrodzenie, jakie pobierają, wlewając mu w murach szkolnych olej do mózgownicy. Resztą ma się zająć dom.

Któż jednak znajdzie na to czas, skoro tatuś zajęty jest zawodową pracą, polityką lub... paskarstwem, a mama łamie sobie głowę, w jaki sposób coś z niczego stworzyć, to jest ugotować obiad, nie mając ani węgla, ani mięsa, cukru, mąki, soli, masła ziemniaków i t. d.

Młodzieniec oddany jest zatem sam sobie i cały czas, jaki mu zostawiono do dyspozycyi, obraca na to, co mu jest przyjemnem i nie wymaga natężenia zbytniego, to jest na lekturę lekką i zwiedzanie kin, spacery w miłem towarzystwie, jednem słowem na... próżniactwie, które w tym wypadku może być równoznacznem z warszawskiem „domowem wykształceniem".

Ale z gruntu fałszywem jest twierdzenie, jakoby tylko praca fizyczna była pracą.

A dziś coraz głośniej powtarza się tę teoryę i może i ma racyę młodzież, że się zbyt nie rwie do nauki, wiedząc o tem, że ona da jej sposób nie do życia, lecz jedynie do marnej wegetacyi.

A widzimy to na każdym kroku.

Porównajmy ze sobą na przykład robotnika, zajętego wydobywaniem piasku z Wisły i człowieka o akademickiem wykształceniu, więc urzędnika lub profesora, jakie mają przygotowania do spełnienia swego zawodu i ile ono ich pracy i zabiegów kosztowało, w jakich żyją warunkach i jak są za to wynagradzani.

Pierwszy z nich powiada sam o sobie, że nie pracowałby, gdyby dziennie nie zarobił pięćdziesiąt koron, drugi, to jest urzędnik lub profesor, kontent jest, jeśli mu wypadnie trzydzieści na dzień. I to po ilu latach służby i w jakich odmiennych warunkach życiowych!...

W ruinach Francyi.

Wróciło ich dwudziestu ze swym starym plebanem na miejsce (de Pontavert) do zniszczonej i tylko gruzami dającej o sobie znak życia wsi. Tak, Pontavert właściwie nie egzystuje już, bo ciężar wojny przeszedłszy przez wieś huraganem, wszystko zgniótł i rozwalił. A jednak wszyscy wrócili, aby choćby uczepić się rozrzuconych kamieni, tego co dziś jest tylko gruzem a imienia niema Pozostała ziemia, gdzie się urodziło i wychowało, gdzie zmarli przodkowie śpią snem wiecznym, tak tragicznie przez wojnę przerwanym. Chcą życia wśród ruin choćby, tylko tutaj i za nimi przyszli inni. Przyszli i nic nie zastali, ale przecie trzeba się gdzieś schronić. Oto z boku pagorka znajduje się opuszczone stanowisko dowództwa brygady; zmieścili się tam wszyscy. Stary proboszcz zbudował swoją kaplicę pod jakąś falistą blachą na wolnem powietrzu, a miejsce to ozdobiono drzewami. Możnaby się zapytać, czy ta opuszczona



W ruinach Francyi: Kaplica i ogród księdza z Pontavert.

przez dowództwo ziemianka, która powstała na zburzonych domostwach wioski, pomieści aż 20 osób dziś całą wieś, ale niema obawy, bo w niej znajdowało się czasami więcej. Inni zostali w czasie wielkiego zimna poumieszczani w skrzyniach betonowych, które nawet odznaczają się pewnego rodzaju komfortem i elegancyą. Te ziemianki niejednokrotnie, jak np. w lesie argońskim, albo pod Verdun, znajdują się dość głęboko, a człowiek chętnie zgodzi się na mieszkanie 15 metrów pod ziemią, bo niema nawet gdzie, chociaż i elektryka i telefony, które tu czyniły życie znośniejszem przestały funkcyonować. Jeżeli okazał się brak gdzie miejsca sporządzono przystojny dom z blach, desek, lub jakiegokolwiekbądź innego materyału, tu i ówdzie walającego się. Bo tymczasem nie zabiera się do go, więc ludność ludność powracająca chętnie zbiera i odbudowuje się na gwałt Praca wre gorączkowa, bo powraca ich coraz więcej. Z zapałem pola, które się musiało przekopać, przewrócić i zrujnować na urządzenia wojenne, te pola ryte pociskami, z których wiele jeszcze nawet nie wybuchnęło po upadku



Pierwszy pasażerski statek nadpowietrzny: Przedstawiciele prasy i kilku pasażerów przed wsiadaniem w Friedrichshafen.



Pierwszy pasażerski statek nadpowietrzny: Widok kabiny pasażerskiej podczas jazdy.



W ruinach Francyi: Pierwsza praca rolników na polu bitwy — usuwanie drucianych zasieków.

i przypominają jeszcze ustawicznie, że tędy przewalała się burza niszczycielskiej wojny, poczęto uprawiać. Wszędzie pełno gruzów, zgliszcza, a wśród nich porozrzucane pojedynczo lub grupami sterczą groby. I na to miejsce zniszczenia, na to cmentarzysko powracają rolnicy, aby tak jak kiedyś przed wojną, zapuścić pług w ziemię. Można ich teraz widzieć przez długie dnie przy znojnej pracy. Uprzątnę i druty kolczaste, pousuwali wszelkie inne przeszkody i mimo uciążliwej pracy przygotowali pola pod przyszłe zasiewy. Tak odrodziło się znowu życie wiejskie, tam gdzie przed niespełna rokiem było pole zażartych walk z nieprzyjacielem. I ile to teraz potrzeba czasu, aby praca tych kilku ludzi wróciła dawny porządek? Czasem zdaje się nawet, że to ponad siły ludzkie, ale nie. Po niejakim czasie już znikły rowy i zasieki, zorano poszarpaną granatami ziemię, która też hojną ręką wynagradza pracę. I po czasie wraca z powrotem słońce na ziemię, rzuca garść promieni i rozświetla znękane twarze. Praca pokonała wszystko i nawet szczęście zakwita.

Warunki wytworzyły się ciężkie, żmudne, bo też wojna wszystko zburzyła i na nice przewróciła, ale gorące i szczere chęci potrafiły i z ruin wykrzesać życie i w załzawionych oczach blask radości odmalować.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.

Ułożył K. B., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy poda imię i nazwisko jednego z bohaterów „Trylogii" Sienkiewicza.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
– – – – – – –
– – – – – – –
– – – – – – –

Znaczenie wyrazów: 1) Litera grecka. 2) Część ciała. 3) Zwierzę domowe. 4) Francuski powieściopisarz 5) Strój rzymski. 6) Dopływ Wisły. 7) Dopływ Styru.

Okienko.

Ułożył M. M., Warszawa.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunkn pionowym i poziomym.

a a a a a
a b i
i m n n n
n o o
r r s u u

Znaczenie wyrazów: 1) Zwierzę domowe. 2) Imię męskie, 3) Mityczny władca wschodni.

Trójkąt magiczny.

Ułożył J. Wieczyński, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko jednego z wodzów rosyjskich, walczących z bolszewikami.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ – – – – – –
■ – – – – –
■ – – – –
■ – – –
■ – –
■ –
■

Znaczenie wyrazów: 1) Szukany wyraz. 2) Instrument muzyczny. 3) Miasto w Kongresówce. 4) Mała izdebka. 5) Przyjaciel Mickiewicza. 6) Miara powierzchni. 7) Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. Kamocki, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie.

Brama, sucho, pud.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) W. Przyborowskiego „Czerwona mara". Powieść 2) paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 37

Łamigłówka. Leon Biliński.

Grzebieniówka. Ryga, a, dyby, e, Kola, S, ogar, b, Emil, l, Sola, o noga.

Logogryf. M, lis, ach, kahal, Sas, Kafka, Abo, brama, tułów, sum, Dacya, bankiet, poligon.

Trójkąt magiczny. Bela Kuhn, Emanuel, liyiec, Astor, koło, Ula, ho, n.

Łamigłówka polityczna. Biliński.

Okienko. Goryl, rydel, lulek.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Majewski Lwów, J. Jaglarz Kraków, S. Osadziński Jasło, G. Zaleski Jasło, M. Bilińska Stanisławów, M. Zagórski Dynów, J. Jaworski Lwów, H. Kalinowska Jarosław, Z. Wilczyżski Warszawa, J. Więckowski Zakopane, S. Kalczyński Jordanów, H. Morgenstern Rzeszów, M. Krawecki Tarnów, M. Zak Kraków, S. Krzyżanowski Winnica, R. Jasiński Lwów, H. Bukowska Winnica, S. Maciejowski Zakopane, M. Waligórska Warszawa, L. Kolodziejski Częstochowa, M Zajączkowski Przemyśl, S. Sokalski Lwów, K. Dembiński Warszawa, S. Straszewski Zakopane, J Puchalski Lwów, D Łopatyński Sambor, J. Pietrzycki Poznań, S. Karwowski Zamość, R. Kwaśniewski Lwów, M. Bandrowska Lublin, H. Obst Lwów, K. Lipski Wiedeń, Z. Rosenbaum Rzeszów, K. Radoszewski Nowy Sącz, Z. Galiński Kraków, M. Kurowski Jarosław, L. Garnszer Lwów, Z. Sperling Wiedeń, H. Bernatowicz Zakopane, L. Wojciechowski Kraków, J. Matyka Lwów, R. Samlicki Rozwadów, M. Nowak Lwów, Z. Kucharzewska Krynica, S. Wąsowicz Warszawa, J. Patelski Piotrków, L. Wanderer Chrzanów, J. Gartner Lwów, H. Ogonek Zakopane, L. Neufeld Stanisławów, M Dworzańska Lwów, H. Bobowska Łódź, R. Wasilewski Warszawa, J. Czernacki Kraków. M. Dudek Lwów, J. Nowacki Sambor, H. Kozlowska Lwów, M Potocka Kraków. H. Józefowicz Tarnów, M. Mychowski Lwów, Z. Michalowski Warszawa, E. Mochacki Zakopane, J. Dziedzic Wadowice, H. Zabek Sandomierz, M. Ostrowska Warszawa, S. Kuliński Kraków, Cz. Kozlowski Oświęcim, H. Wereszczyński Lwów, U. Kokoszyński Przemyśl.

Nagrodę przez losowanie otrzymali: 1) J. Gartner Lwów (książka). 2) Cz. Kozłowski Oświęcim (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 hal. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego